



CO SŁYCHAĆ?

INFORMATOR POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO – LIPIEC/SIERPIEŃ 2021

SYLWESTER DĄBROWSKI (O/Sosnowiec)

XVIII Jurajski Rajd Rowerowy

Tegoroczny, XVIII Jurajski Rajd Rowerowy odbył się w dniach 25-27 czerwca 2021 r. Impreza Oddziału PTT w Sosnowcu już po raz kolejny dotarła w rejon Ojcowskiego Parku Narodowego. Ponownie na czele

komitetu organizacyjnego stanęli Bożena i Arek, a za sprawy samochodu technicznego odpowiadał Sylwek.

Trasa pierwszego dnia wiodła z Sosnowca przez Burki, Sławków i Laski do

Sławkowa. Tam był dłuższy postój. Potem przez Laski, zamek w Rabsztynie i Trzyciąż uczestnicy dotarli do Pieskowej Skały, gdzie zlokalizowana była baza. Tego dnia w godzinach wieczornych odbyły się posiady przy ognisku i gitarze.

W drugim dniu imprezy jedna grupa pojechała do Krakowa, druga realizowała szlak wokół Pieskowej Skały. Zwiedzono zamek, Maczugę Herkulesa, Wąwóz Babie Doły, Skałę Szymanowskiego, Sułoszową – Dolinę Zachwytu, Wąwóz Sokolec i wiele innych atrakcji znajdujących się na trasie. W godzinach wieczornych odbyło się kolejne spotkanie przy gitarze.

Trzeciego dnia tego wydarzenia udaliśmy się w trasę powrotną do Sosnowca przez Sułoszową, Zederman i Bukowno.

W rajdzie brało udział 45 osób. Impreza należała do bardzo udanych i obyło się bez żadnych kontuzji. Do zobaczenia za rok na XIX Jurajskim Rajdzie Rowerowym.

Uczestnicy XVIII Jurajskiego Rajdu Rowerowego (fot. archiwum PTT O/Sosnowiec)



TOMASZ WĘGRZYN (K/Kozy)

II Koziański Rodzinny Rajd Rowerowy

Turystyka rowerowa w Kozach nabiera coraz większego zainteresowania wśród mieszkańców gminy i jest to doskonała forma spędzania wolnego czasu na świeżym powietrzu. Dlatego też Koło Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Kozach wraz ze Stowarzyszeniem Koziański zorganizowało w dniu 20 czerwca 2021 r. drugą edycję Koziańskiego Rodzinnego Rajdu Rowerowego.

Przy pięknej, choć upalnej pogodzie, całymi rodzinami kozianie stawili się w miejscu startu, gdzie otrzymali pamiątkowe gadzety, a następnie wyruszyli w asyście obsługi w około 13-kilometrową trasę przez miejsca widokowe w kierunku obiektu sportowego LKS „Pionier” Pisarzowice. Tam też zaplanowano półmetek rajdu.

Po krótkim odpoczynku, piętnastoosobowe kolumny wyruszyły w drogę powrotną do Parku Dworskiego w Kozach, gdzie w finale wydarzenia nagrodzono najstarszego i najmłodszego uczestnika oraz

najliczniejszą rodzinę biorącą udział w Rajdzie.

Impreza została zabezpieczana przez strażaków z OSP Kozy, funkcjonariuszy z Komendy Miejskiej Policji w Bielsku-

Białej oraz Ratownika Medycznego i pojazd zabezpieczenia technicznego. W organizowanym przez nas wydarzeniu udział wzięło 128 osób.

Uczestnicy II Koziańskiego Rodzinnego Rajdu Rowerowego (fot. archiwum PTT K/Kozy)



Z życia ZG PTT

JÓZEF HADUCH (O/Chrzanów)

Czy Turnicki Park Narodowy musi powstać?

W czerwcu br. na pierwszej stronie miesięcznika „Dzikie Życie” nr 6/324 ukazał się tytuł „TURNICKI PARK NARODOWY MUSI POWSTAĆ”. Jest i motto na drugiej stronie okładki: „Niewysokie wzgórza pokryte gęstwiną leśną. Gdy byłam tam pod koniec października złociły się buki zdominowane, jak nigdzie indziej, przez ciemnozielone o tej porze roku jodły. Jodłowy las! Srebrne, strzeliste pnie, porośnięte jeszcze bardziej srebrnymi porostami krzaczkowatymi, srebrnymi w jesieni, bo w zimie, na tle bieli szronu i śniegu zadziwiają mnogością odmian soczystej zieleni” – tak o terenie projektowanego Turnickiego Parku Narodowego pisała Marta Lelek w artykule „Jest gdzieś taka kraina” („Dzikie Życie” nr 2/21 z 1996 r.). W swojej treści czerwcowy numer poddaje analizie obecną zaistniałą sytuację związaną z wycinką wielowiekowych drzew na terenie przyszłego Parku Narodowego, a sam redaktor naczelny rozmawia z aktywistkami działającymi w tym terenie na rzecz ochrony

zabytkowego lasu przed wycinką, które zachęcają do przyjazdu słowami „(...) przyjeżdżajcie na Pogórze Przemyskie, niekoniernie od razu na blokadę, ale by poznać to miejsce. Warto zobaczyć z jak różnorodnym lasem mamy do czynienia. W tym lesie warto się zagubić, poznać jego wąwozy, napić czystej wody prosto ze strumienia. Wreszcie warto nawiązać osobistą relację z tym miejscem, co może pomóc w zaangażowaniu się w ochronę tego terenu (...)”.

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie w latach 2013-2016 prowadziło działania wspierające w celu utworzenia Turnickiego PN występując pisemnie do Ministerstwa Środowiska i do Marszałka Województwa Podkarpackiego. W tym czasie otrzymaliśmy jednoznaczne negatywne odpowiedzi. Jestem jednak przekonany, podobnie jak redaktor Dzikiego Życia, że „(...) Co do Turnickiego Parku Narodowego jestem optymistą, choć zdaję sobie sprawę, że na pozytywny finał trzeba będzie jeszcze trochę poczekać (...)”. I ten finał nastąpi i to



nawet wiem kiedy, ale to inna historia o politycznym zabarwieniu. Tymczasem w imieniu Komisji Ochrony Przyrody PTT zachęcam naszych członków, zwłaszcza z tych Oddziałów, które mają blisko na Pogórze Przemyskie do wyjazdów w obszar przyszłego parku narodowego i wspierania działań na rzecz jego powstania. ■

Z życia Oddziałów

STEFANIA HYLA (K/Opole – „Sabałki”)

Pasja i przyjaźń przetrwają wszystko

Kiedy w zeszłym roku pisałam o rozpadzie koła „Sabałowy Klan” przy firmie Schiedel w Opolu, zarówno ja jak i moi przyjaciele, którzy odeszli z tego koła, nie myśleliśmy o tym, że jeszcze coś nam się uda razem zrobić. Ale jak to w życiu bywa pasja i przyjaźń przetrwają wszystko. Rok był ciężki – pandemia, odejścia z firmy, każdy szukał coś nowego – więc nadzieja była mała.

W kwietniu pojawiły się pierwsze komunikaty, że zostajemy w opolskim PTT, ale na razie tylko 5 osób. Dopiero w maju, kiedy zmniejszono powoli obostrzenia, spróbaliśmy zorganizować wyjazd członków byłego koła. Na spotkaniu w Pieninach

zrozumieliśmy, jak bardzo brakuje nam wyjazdów i wspólnych spotkań, bo przecież kochamy góry. W trakcie wieczornego ogniska dużo rozmawialiśmy, wspominając wyjazdy. Postanowiliśmy podtrzymać tradycję czerwonych koszulek, bo wyglądamy w nich na prawdę fajnie. Jakież to było fajne uczucie, kiedy szliśmy małą grupką przełomem Dunajca i ludzie zwracali na nas uwagę. Ale nie wiedzieli, że w naszych sercach zagościło trochę smutku, bo już nie reprezentowaliśmy „Sabałowego Klanu”. Bo i skąd mieli wiedzieć? Zapadła decyzja – działamy sami.

Mamy więc swoją małą grupę (na razie

12 osób), wybraliśmy nazwę „Sabałki” i zaczynamy działać. Poinformowaliśmy naszego kolegę Janka Sachnika, prezesa Oddziału PTT w Opolu o tej decyzji, uregulowaliśmy już składki na ten rok. Mała to grupka, ale jakże pełna entuzjazmu. Dwa spotkania w Tatrach i Pieninach pozwoliły nam uwierzyć, że można działać dalej bez obaw, że komuś się nie spodoba nasze wyjazdy lub że stracimy pracę. Na następnym spotkaniu wybraliśmy Zarząd i jak to bywało wcześniej, będziemy relacjonować nasze wyjazdy.

Koleżanki i koledzy, życzcie nam powodzenia! ■

ZBIGNIEW SMAJDOR (O/Nowy Sącz)

Nowe mapy nowosądeckich szlaków spacerowych

Dzięki zaangażowaniu wiceprezesa oddziału Władysława Łoboza na tablicach ogłoszeniowych Oddziału „Beskid” PTT przy Dworcu Kolejowym na Alejach Batorego i przy Dworcu Autobusowym na Alejach Wolności zostały wykonane i wymienione mapy Nowosądeckich Szlaków Spacerowych PTT. Poprzednie pod wpływem czasu i warunków atmosferycznych zostały zniszczone, a nowe mają być lepszej jakości i służyć mieszkańcom Nowego Sącza jako informacja o możliwościach

aktywnego spędzania wolnego czasu bez dalekich i kosztownych wyjazdów.

Łącznie okalający pierścieniem Nowy Sącz szlak posiada blisko 53 km długości, składa się z pięciu odcinków, a na jego przejście potrzeba około 16 godzin. W 2017 roku Władysław Łoboz dokonał całkowitej renowacji oznakowania szlaku, który oferuje piękne widoki na Kotlinę Sądecką i okalające ją pasma górskie. ■



Władysław Łoboz i Zbigniew Smajdor przy jednej z tablic (fot. archiwum PTT O/Nowy Sącz)

STEFANIA HYLA (K/Opole – „Sabałki”)

„Sabałki” na wspólnym wyjeździe

W lipcu tego roku, po raz pierwszy, grupa członków Opolskiego PTT – „Sabałki”, spotkała się na wspólnym wyjeździe w Pieninach. Po tak długiej przerwie 8 osób z byłego koła Sabałowy Klan postanowiło się znowu spotkać, bo tęsknili za górami oraz za wspólnymi spotkaniami. Zamknęliśmy pewien rozdział pięknej przygody z górami w innym towarzystwie, ale i mając na uwadze swoją pasję i długoletnią przyjaźń, ruszyliśmy w góry.

Od czegoś trzeba zacząć, więc wspólne w większej grupie spotkanie rozpoczęliśmy od naszych kochanych Pienin, od Jaworek, bo tam czujemy się najlepiej. Mieliśmy dla siebie tylko 3 dni, ale to wystarczyło, bo nie pracujemy już razem, i każdy ma inne zawodowe zobowiązania, a także tak długa przerwa w chodzeniu po górach nie pozwalała na przeforsowanie.

Nasze wędrówki rozpoczęliśmy w Sromowcach Niżnych u stóp wejścia na Trzy Korony. Dwie nasze bardzo wysportowane koleżanki postanowiły zaliczyć Trzy Korony już od wejścia w Szczawnicy przepływając łodzią na drugą stronę, aby tam zacząć szlak przez Sokolicę. Pozostała część grupy przekraczając kładkę w Czerwonym Klasztorze udała się do Szczawnicy pięknym szlakiem liczącym ponad 10 km.

Pozostawiony na parkingu samochód, dzięki uprzejmości tamtejszego hotelu „Nad Przełomem”, czekał na nasze kozice, aby mogły po długiej i trochę trudnej po deszczu wędrówce wrócić na wspólne spotkanie w Szczawnicy.

Spacer wzdłuż Dunajca minął miło,

tym bardziej, że w naszej wyprawie mieliśmy najmłodszego uczestnika, 10-miesięcznego Karolka, który tę podróż wózczykiem zniósł dzielnie, z uśmiechem i oczywiście częstym spaniem, przy tak świeżym powietrzu. Zatrzymywaliśmy się często wspominając ile razy już tamtędy wędrowaliśmy.

Na trasie nie spotkaliśmy patrolu słowackiego, który miał rzekomo sprawdzać przechodzących turystów. Całą drogę wzdłuż Dunajca towarzyszyły nam pełne tratwy turystów i kajakarzy. W Szczawnicy odebraliśmy drugi samochód i udaliśmy się do Jaworek.

Nasze koleżanki-kozice wróciły z Trzech Koron zadowolone z pięknie zrobionymi zdjęciami. Po raz pierwszy widziały z góry Dunajec, który po nocnych opadach w górach miał kolor brązowy, stwarzając wrażenie, że to płynnie same błoto.

Wieczorem przy grillu podjęliśmy decyzję, że działamy sami pod nazwą „Sabałki”, gdyż sentyment do sześciolletniego pobytu w Sabałowym Klanie powrócił, a przecież wtedy taką wybraliśmy nazwę. Na razie jest nas 12 osób, ale są wakacje, urlopy i nie wszyscy jeszcze wiedzą, że my znów jeździmy.

W niedzielę odwiedziliśmy rezerwat Białej Wody w Jaworkach. Piękna trasa wzdłuż szumiącej wody, pięknej zieleni, no i ciszy, której nam brakuje w Opolu. Tym razem nie wybraliśmy się do Wąwozu



Reliktowa sosna na Sokolicy
(fot. Bogusława Łokczewska – PTT O/Opole)

Homole, bo przeraziły nas tłumy turystów, które tam się wybierały.

Do Opola wracaliśmy późnym popołudniem, a Dunajec płynął już czysty. W połowie sierpnia część z nas wybiera się razem na tygodniowy pobyt do Murzasihle, oczywiście z naszym małym Karolkiem, który kiedyś może będzie opowiadał swoim rówieśnikom, że tu zaczynał swoje pierwsze spotkania z górami i już wtedy je pokochał. A miłość do gór zaczął od Pienin, bo tak jak napisał kiedyś Mieczysław Orłowicz: „*kto raz odbył wycieczkę w Pieniny, tak wiele zawdzięcza jej wrażeń, że często powracać tam będzie, bo nigdzie nic piękniejszego i bardziej malowniczego tam nie zobaczy*”. Tak jest też z nami. My ciągle tam wracamy.



Z widokiem na Dunajec (fot. Bogusława Łokczewska – PTT O/Opole)

ZBIGNIEW JASKIERNIA (O/Sosnowiec)

W Beskidzie Niskim i Pieninach

W dniach 17-18 lipca 2021 r. wybraliśmy się w Beskid Niski i Pieniny, aby zdobyć kolejne dwa szczyty „Korony Gór Polski”.

Po wyjeździe z Sosnowca pokonaliśmy trasę przez Tarnów, Wojnicz, Zakliczyn, Gromnik, Ciężkowice, Bobową, Grybów, Florynkę, Brunary, Śnieżnicę, Banicę i Izby. Naszą uwagę przyciągnęła cerkiew łemkowska św. Michała Archanioła w Brunarach. Cerkiew ta w 2013 r. została wpisana na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Na tę listę trafiły wszystkie cerkwie w Polsce i na Ukrainie. W obecnej formie wzniesiona została w XVIII w., natomiast w XIX w. dokonano rozbudowę. Po akcji „Wisła” cerkiew została przejęta przez kościół łaciński. Obecnie jest użytkowana jako kościół rzymskokatolicki parafii Najświętszej Maryi Wniebowziętej w Brunarach.

W Izbach zatrzymaliśmy się w miejscu, gdzie kończyła się droga asfaltowa. Jak się potem okazało, można było drogą polną podejść jeszcze ok. 2 km do ściany lasu w pobliżu Przełęczy Beskid (644 m n.p.m.). Stąd odchodzi szlak zielony i czerwony w kierunku szczytu. Na parkingu spotkaliśmy głodnego kotka, który chętnie zjadł moją kanapkę z żółtym serem. Po lewej stronie miniliśmy szczyt o nazwie Baszta (702 m n.p.m.). Poniżej szczytu znajduje się miejsce dawnego Szańca Konfederatów.

Trasa początkowo łatwa z czasem staje się bardzo stroma. Bardzo przydatne są kijki. Z pomocą przychodzi także gałęzie. Ponieważ na trasę wyszliśmy ok. 8 rano, na szlaku nie spotkaliśmy nikogo. Dopiero na szczycie Lackowej (997 m n.p.m.) spotkaliśmy czwórkę młodych turystów z Lublina. Podobnie jak my realizowali zdobywanie Korony Gór Polski. Potem do-

tarła trójka turystów z Radomia, która wbiegła na szczyt. Traktowali to jako element przygotowań do innej imprezy. Na pamiątkę tych miłych spotkań zrobiliśmy pamiątkowe zdjęcie. Zejście ze szczytu na pierwszym odcinku jest bardzo trudne. Trzeba uważać, aby nie polecieć z kamieniami w dół. Dobre buty, kijki i gałęzie są tutaj bardzo pomocne.

Z czasem na trasie spotykaliśmy coraz więcej turystów, którzy mieli także plan zdobycia Lackowej. Największa grupa pod kierunkiem przewodników z SKPG to członkowie Oddziału PTTK „Gorce” z Nowego Targu, która najtrudniejsze odcinki szlaku miała jeszcze przed sobą. Pogoda w czasie zejścia była bardzo dobra i rozciągały się widoki na okoliczne szczyty: Banicką Górę, Czereszne i Kamienny Wierch.

Tego dnia musieliśmy się przemieścić w Pieniny, do Krościenka nad Dunajcem. Trasa nasza wiodła przez: Brunary, Florynkę, Binczarową, Boguszę, Kamionkę Wielką, Nowy Sącz, Łącko i Tyłmanową. Zatrzymaliśmy się w Galicyjskim Gospodarstwie Agroturystycznym przy ul. Zdrojowej 156. Wieczór poświęciliśmy na wypoczynek.

Następnego dnia już w godzinach porannych wyruszyliśmy do Jaworek. Prognozy na ten dzień nie były optymistyczne. Opady planowane od godziny 8 do 9, potem od 11 do 12.

Na parking w Jaworkach dołączył do nas sympatyczny turysta z Poznania, który



Na szczycie Lackowej (fot. Zbigniew Jaskiernia - PTT O/Sosnowiec)

także wybierał się na Wysoką. Połączyliśmy siły. Wąwóz Homole pokonaliśmy bez problemów. Kiedy zbliżaliśmy się do rozwidlenia szlaku idącego do bazy namiotowej pod Wysoką lunął rzęsy deszcz i słyszeliśmy zbliżającą się burzę. Szlak z miejsca zmienił się w rwącą rzekę i o wycofaniu nie było mowy. Spotkaliśmy kilka osób, które wycofywały się do Jaworek. Na szczęście prognozy się sprawdziły i deszcz po godzinie przestał padać. Teraz mieliśmy okienko pogodowe. W tym czasie należało wejść na szczyt i zejść do Jaworek przed deszczem. Baza namiotowa przygotowana była do ewakuacji, podobnie jak wszystkie na terenie woj. małopolskiego. To było pokłosie bardzo dużych opadów w rejonie Myślenic z dnia poprzedniego.

Po wyjściu z lasu mieliśmy do pokonania bardzo rozległy odkryty teren. Od granicy lasu teren stał się coraz bardziej stromy. W wielu miejscach trudniejsze zbocza były wyposażone w drabinki. Na szczycie spotkaliśmy grupę osób. Na pamiątkę zdobycia najwyższego szczytu Pienin, Wysokiej, pozostaną nam wspaniałe fotografie. Na szczycie nie przebywaliśmy zbyt długo. W każdej chwili mogły znów nadejść deszcze i zejście byłoby trudne. W czasie zejścia ze szczytu, na szlaku spotykaliśmy coraz więcej turystów. Szczęśliwie dotarliśmy na parking w Jaworkach, gdzie mieliśmy zostawiony samochód.

Trasa powrotna prowadziła przez Przełęcz Przysłop, Mszanę Dolną, Lubień, Myślenice i Kraków. „Zakopianka” w rejonie Myślenic była już przejezdna po wczorajszych opadach. Cały wyjazd zaliczamy do udanych. Udało się zdobyć dwa szczyty „Korony Gór Polski”.

Na szczycie Wysokiej w Małych Pieninach (fot. Zbigniew Jaskiernia - PTT O/Sosnowiec)



Góry Przekłete

W maju 2021 r. szanse na powodzenie jakiegokolwiek górskiego przedsięwzięcia poza granicami kraju należało oceniać bardzo ostrożnie. Trudno było przewidzieć jak rozwijać się będzie trzecia fala pandemii i w związku z tym jakie będą obowiązywać ograniczenia w podróżowaniu. W czerwcu niewielki team jadący prywatnym samochodem miał już szansę przejechać przez Europę.

Program naszej wyprawy obejmował najwyższą część Gór Dynarskich (serb. *Prokletije* – Przekłete), które przez dziesięciolecia były praktycznie niedostępne dla turystów. Planowaliśmy, z niewielkimi wyjątkami, wędrować szlakiem górskim zwanym Peaks of the Balkans, który w swej standardowej wersji wiedzie dookoła tych gór, przez przełęcze, a nie szczyty jak sugeruje jego nazwa.

Pierwsza połowa roku była nietypowa, nie tylko ze względu na ogólnoswiatową pandemię ale i aurę. Zima była bardzo długa, a na Bałkanach spadły ogromne ilości śniegu, niewidziane tu od dziesięciu lat. W górach, mimo zbliżającego się lata, nadal panowały trudne warunki. Należało zatem zabrać dodatkowy sprzęt: raki, czekan, kask, a nawet uprząż z małą. Plan wyprawy, siłą rzeczy, miał więc charakter ramowy.

Start zaplanowaliśmy na 11 czerwca. Bez zbędnych ceregieli załadowaliśmy nasze bagaże do wynajętego na całą wyprawę małego busa i ruszyliśmy w drogę. Przez Słowację przejechaliśmy bez problemów. Na granicy z Serbią nie było kolejki i odprawiliśmy się sprawnie. Po jej przekroczeniu wymieniliśmy 50 euro na serbskie dinary, by było na najpilniejsze potrzeby.

Do Belgradu dojechaliśmy późnym popołudniem. Już z daleka przywitały nas, niczym „bramy” średniowiecznego miasta, trzy wielkie betonowe wieżowce. Były potwornie brzydkie. Pochodziły z czasów Jugosławii i reprezentowały styl zwany w architekturze brutalizmem.

Zameldowaliśmy się w hotelu, który położony był w dużym ogrodzie. Niestety, w tym dniu ogród był niedostępny. Odbywało się w nim serbskie wesele ochraniające przez strażników. Zespół muzyczny grał bałkańską muzykę, goście siedzieli za suto zastawionymi stołami, nikt nie tańczył, poza małymi dziećmi.

Gdy z tarasu przyglądaliśmy się temu wydarzeniu zjawilo się dwóch hotelowych gości. Coś do siebie powiedzieli. Usłyszeliśmy tylko, że mówią po polsku. Byli to importerzy czereśni spod Grójca, którzy przyjechali do Serbii po towar. Twierdzili, że od wielu godzin to wesele wygląda w ten sposób.

Z hotelowego pokoju zadzwoniłem do domu. Rozmowę przerwał mi kolega informując, że minuta połączenia z krajem kosztuje 13 zł. Przy recepcji działała niezabezpieczona sieć internetowa więc skorzystałem z WhatsAppa.

Śniadanie mieliśmy wliczone w cenę noclegu. Serwowano je w formie bufetu. O godz. 9 byliśmy już w drodze. Około południa zatrzymaliśmy się w niewielkiej, sądząc po przebiegającej obok podwieszanej kolejce do transportu urobku, górniczej miejscowości na obiad. Lokal przypominał restaurację prowadzoną przez gees w PRL-u, ale serwowano tu smaczne posiłki. Po godzinie

ruszyliśmy w dalszą drogę.

Na granicy Serbii z Czarnogórą także odprawiliśmy się szybko i bez problemów. Te zaczęły się kilka kilometrów dalej. Droga, którą jechaliśmy, była remontowana i poszerzana, co w tym wybitnie górskim terenie oznaczało kilkukrotne wielominutowe postoje. Niektórzy miejscowi kierowcy, nie zważając na czerwone światło, wjeżdżali na zawężone odcinki i blokowali przejazd. Istny koszmar.

Ale to nie było wszystko. Droga wiała się w górę po stromym stoku. Po prawej stronie mieliśmy kilkusetmetrową przepaść, na dnie której płynęła rzeka. Na przełęczy Czarnogórcy urządzili ogromne wysypisko śnieci. Zrzucając z dużej wysokości wpadały wprost do rzeki. Śmieci wywożone były przez mieszkańców okolicznych miejscowości czym się dało, w tym małymi traktorami z jednoosiowymi przyczepkami. Rozwijały one niewielką prędkość i skutecznie blokowały ruch na wąskiej i krętej drodze.

Wreszcie, późnym popołudniem, dojechaliśmy do Gusinje, miasteczka w północno-wschodniej Czarnogórze położonego nad rzeką Grnčar przy granicy z Albanią. Zamieszkiwało go jakieś 2 tys. mieszkańców.



Nie tylko na galeriach, w kotłach i żlebach zalegały ogromne masy śniegu (fot. Janusz Pilszak – PTT K/Kozy)

W tym małym miasteczku znajdowały się tuż koło siebie meczet, cerkiew i kościół katolicki. Sama Czarnogóra to niewielkie w sumie państwo o powierzchni mniejszej niż nasze województwo Małopolskie i liczbie mieszkańców ledwo przekraczającej pół miliona (woj. małopolskie – 3,4 mln).

Po przejechaniu następnych kilku kilometrów dojechaliśmy do celu, wsi Vusanje. W jednym z gospodarstw agroturystycznych mieliśmy zarezerwowane drewniane domki na najbliższe dni,

z wyżywieniem, które obejmowało śniadanie, prowiant na drogę oraz obiadokolację.

Sama wieś składała się z dwóch osad i była zamieszkała w niemal w 100% przez Albańczyków. My zamieszkaliśmy w osadzie górnej. Nasz domek przylegał wprost do trochę zaniedbanego muzeum mańskiego cementarza. Niedaleko znajdował się meczet z drewnianym minaretem pokrytym gontem. Prawdopodobnie był zamknięty bowiem, ani razu nie słyszałem muezyna nawołującego do modlitwy.

We wsi budowano wiele nowych, bardzo reprezentacyjnych, domów. Rozmach tych inwestycji robił wrażenie. Od naszych gospodarzy dowiedzieliśmy się, że w XX w. wielu mieszkańców tej miejscowości wyemigrowało do USA na skutek represji władz ówczesnej Jugosławii i zamieszkało w okolicy Nowego Jorku, skąd głównie miały pochodzić pieniądze na te inwestycje. Wiele domów było już ukończonych i stało pustych. Prawdopodobnie za kilka lat cała ta okolica, dotąd dzika i dziewicza, bezpowrotnie się zmieni.

Rozpakowaliśmy bagaże i wzięliśmy szybki prysznic. Zaskoczeniem była łazienka. Prysznic i toaleta były w jednym małym pomieszczeniu usytuowane naprzeciw siebie bez żadnych przepierzeń czy zasłon, co umożliwiało, przynajmniej teoretycznie, kąpiel i załatwianie potrzeb fizjologicznych równocześnie. W tym

czasie gospodarze przygotowali dla nas wspaniałą kolację. Od jutra czekały na nas góry.

Wieczorem usiedliśmy na chwilę na werandzie przed domkiem. Pogoda była piękna, a okalające dolinę szczyty kąpały się w promieniach zachodzącego słońca. Pomimo, że była już połowa czerwca nie tylko na galeriach, w kotłach i żlebach, ale i na niższych położonych łąkach zalegały ogromne masy śniegu. Z jednej strony podkreślając ten piękny wysokogórski krajobraz, a z drugiej budząc coraz większe nasze obawy.

Przez kolejne dni po okolicy poruszaliśmy się naszym busem albo wynajętą terenówką. Zwykle, podjeżdżaliśmy, do któregoś z niewielkich przysiółków zabudowanych tradycyjnymi kamiennymi domami, które pełniły kiedyś także funkcję obronną. Niemal przy każdym z nich pasły się owce, krowy i konie, które ze względu na warunki w górach nie wyszły jeszcze na wyżej położone pastwiska.

Zwykle wędrowaliśmy przez 8-10 godz. Już pierwszego dnia okazało się jak trudne są to góry. Podejścia były strome, a szlaki kiepsko oznakowane. Na ledwo widocznych ścieżkach leżały powalone drzewa. Za to po wyjściu powyżej linii bukowego lasu odsłaniał się wspaniały widok. Przed nami rozpościerały się, niczym w Bieszczadach, wielkie połoniny, na których kwitły tysiące wczesnowiosennych kwiatów. Powyżej leżał jeszcze śnieg.

Wstawaliśmy wcześniej, zwykle około godz. 4. Temperatura

była niska, jakieś +5°C. Gospodarze podawali nam śniadanie w kuchni, która pełniła jednocześnie rolę salonu. Podłoga była wyłożona dywanami. By uszanować miejscowe zwyczaje zdejmovaliśmy przed wejściem buty. W pomieszczeniu było ciepło. Ogrzewał je nowoczesny piec na drewno. Szczególnie w mojej pamięci zapisały się wyżej położone odcinki szlaku oraz wejścia na niektóre szczyty. Warto o nich trochę napisać.

W Czarnogórze na trudniejsze szczyty prowadził nas Ahmed. Miał około 50 lat, był wysoki i atletycznie zbudowany. W tych górach uważany był za najlepszego przewodnika i cieszył się powszechnym szacunkiem. Jako, że był praktykującym muzułmaninem wstawał bardzo wcześnie i po modlitwie Fadżr, odmawianej przed wschodem słońca, był gotowy do drogi.

Razem wybraliśmy się na Maja e Roshit (2524 m). W tym roku nikt tam jeszcze nie był. Jak zwykle zaplanowaliśmy, że pojedziemy jak najdalej naszym busem. Ale odradzono nam to. Po zimie stan drogi był bardzo zły. Nasi gospodarze załatwili terenówkę i wczesnym rankiem ruszyliśmy kamienistą, stromą drogą w głąb doliny. Wertepy były straszne.

Jakieś 2 km za źródłem „Oko – Syni Skakavit”, położonym dokładnie 1000 m n.p.m., musieliśmy pożegnać się z samochodem. Dalej nie dało się już jechać. Tak na marginesie źródło zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Nagle, z niewielkiego jeziora wpływała całkiem spora rzeka.

Przewodnik prowadził pewnie. Właściwie szliśmy na przełaj. Szlak na ten szczyt był oznakowany, ale w wielu miejscach ginął pod śniegiem. Samo oznakowanie też pozostawiało wiele do życzenia. Znaki namalowano bardzo rzadko.

W południe Ahmed zarządził postój. Na chwilę oddalił się od nas. Poszedł nad strumyk sączący się spod śnieżnego pola, umył

twarz i dłonie i odmówił Zuhr czyli południową muzułmańską modlitwę. Po kolejnych trzech godzinach mozolnej wspinaczki osiągnęliśmy szczyt.

Chcąc uniknąć stromych śnieżnych pól, po których wchodziliśmy na zejście wybraliśmy inny wariant. Początkowo było OK. Problemy zaczęły się jak tylko weszliśmy w sosnowy las. Leżały w nim, co najmniej półtorametrowej grubości, zwały śniegu i teren był bardzo stromy. Do tego pod śniegiem ukryte były liczne studnie drzewne i należało bardzo uważać. W pewnej chwili, na stromym zaśnieżonym zbocz straciłem równowagę i zacząłem się zsuwać. Z opresji uratowały mnie kije. Niestety jeden się wygiął i nie dało się go już złożyć.

Zejście kosztowało nas o wiele więcej sił niż wejście. Około godz. 15, po raz kolejny, Ahmed odszedł na chwilę od nas, obmył się w strumieniu i odmówił nakazaną mu przez religię modlitwę Asr. W takim porządku, jak to wyżej opisałem, będzie się modlił każdego dnia naszej wędrowki, niezależnie od miejsca i okoliczności.

Wieczorem dotarliśmy do kamienistej drogi. Tu od niemal godziny czekała już na nas terenówka. Przed zmrokiem dotarliśmy do domków. Na następny dzień mieliśmy zaplanowane wejście na Maja Jezercës (2694 m). Kilka dni wcześniej Ahmed wybrał się na rekonesans w pobliże tej góry. Niestety warunki były tam bardzo trudne i jego zdaniem wejście na szczyt było skazane

na niepowodzenie. Zaproponował nam inną górę i na tym stanęło.

Po dobrze przespanej nocy, wczesnym rankiem, byliśmy już na dworcu autobusowym w Gusinje, a właściwie na tym, co po nim pozostało. Widok był żałosny. Pod wielką zardzewiałą wiatą stało kilka maszyn rolniczych i wraków traktorów. Tylko ledwie widoczny napis „Autobuska Stanica” świadczył o dawnym przeznaczeniu tego miejsca. Ahmed przyjechał punktualnie starym Volkswagenem. Podjechaliśmy na wysokość 1275 m do osady Zgrade. Naszym celem była góra Graben (2196 m).

Na początku szlaku umieszczono wielką metalową tablicę z mapą okolicznych terenów. Z boku mapy było napisane w języku albańskim, jak i angielskim ostrzeżenie „Use the map and trails at your own risk” („Korzystasz z mapy i szlaku na własną odpowiedzialność”).

Początkowo szliśmy kamienistą drogą. Ale dla Ahmeda takie wędrowanie było zbyt proste. Zatem po chwili, ledwo widoczną ścieżką, zaczęliśmy ostro podchodzić do góry. Był pogodny i bardzo ciepły dzień. Kilkakrotnie przecinaliśmy coraz węższą kamienistą drogą, która definitywnie skończyła się na wysokości 1800 m przy pasterskich szałasach zaznaczonych na mapie jako Katun Cardak. Z tego miejsca rozpościera się wspaniała panorama na pobliskie góry i miasteczko Gusinje.

Dalej szliśmy wąską ścieżką, która wyprowadziła nas na przełęcz. Trawiastą, a następnie skalną granią, przykrytą w wielu miejscach śniegiem, dotarliśmy na szczyt. Znajdowała się tam skrzynka z zeszytem wejść.

Ku naszemu zaskoczeniu przedostatni wpis pochodził od Polaków, reporterów rozgłośni radiowej Afera z Poznania, którzy odwiedzili to miejsce 30 września 2018 r. Pierwszy wpis pochodził



Źródło „Oko – Syni Skakavit” (fot. Janusz Pilszak – PTT K/Kozy)

z 2017 r. W sumie było zaledwie 5 wpisów. Nasz był szósty. Pod aktualną datą i naszymi podpisami dopisałem krótkie motto: „Per aspera ad astra” („Przez trud do gwiazd”).

Ostatniego dnia pobytu we wsi Vusanje, wieczorem spakowaliśmy główne bagaże i załadowaliśmy do busa. Rano zawiezie je do Albanii. By tam dojechać będzie musiał naładować sporo drogi i odprawić się na granicy pomiędzy Czarnogórą a Albanii. My przedziemy górami.

Wczesnym rankiem, tuż po godz. 4:30 pożegnaliśmy naszych gospodarzy i ruszyliśmy w drogę. Przed nami była krótka jazda jeepem, a następnie wspinaczka na najwyższy szczyt Czarnogóry Zla Kolata (2534 m) i zejście do doliny Valbony w Albanii.

Początkowo nic nie zapowiadało problemów w realizacji naszych planów. Po wyjściu powyżej linii lasu ukazały się nam ogromne śnieżne pola. Aż trudno było uwierzyć, że właśnie zaczęło się kalendarsowe lato.

Spad terenu był na tyle duży, że musieliśmy założyć raki. Po minięciu całkiem sporej, częściowo zasypanej śniegiem jaskini, z której wiało mroźnym powietrzem, weszliśmy na przełęcz, wzdłuż której biegła granica pomiędzy Czarnogórą a Albanii. Tu szlak się rozdzielał. Można było skręcić w prawo i zejść do doliny Valbony albo w lewo i kontynuować wspinaczkę na szczyt.

Uzbrojeni w raki i czekani ruszyliśmy w stronę kolejnej przełęczy. Po przejściu kilkuset metrów po bardzo stromym i pokrytym grubą warstwą śniegu zbocz, okazało się, że dotarcie do niej może się nie udać. Od Zlej Kołaty, co jakiś czas, odrywały się bloki skalne. Spadając z hukiem przecinały nam drogę. W tej sytuacji Ahmed zdecydował o zmianie planu.

Skręciliśmy ostro w lewo i zaczęliśmy w linii prostej wspiąć się na szczyt Kolata e Mirë (2525 m), którego stok nie był w całości pokryty śniegiem. Po mniej więcej godzinie dalszej wspinaczki stanęliśmy na szczycie. Następnie zeszliliśmy na przełęcz oddzielającą oba szczyty. Była już godz. 14 i należało bezwzględnie schodzić tym samym rezygnując z wejścia na Zla Kolata. Czekaliśmy jakieś dwa kilometry zejścia po stromym pokrytym warstwą śniegu zboczem. Nie byliśmy związani liną, zatem należało bardzo uważać.

Jakieś dwieście metrów przed przełęczą, zahaczyłem rakiem o ukryty pod śniegiem korzeń i poleciałem w dół. Na szczęście szybko udało mi się lot wyhamować. Jednak padając uderzyłem policzkiem w czekan. Dobrze, że skończyło się tylko na stłuczeniu.

Na przełęczu pożegnaliśmy się z Ahmedem, który wrócił do Czarnogóry i powoli zaczęliśmy schodzić do doliny. Niebawem natknęliśmy się na pustą osadę pasterską. Na mapie zaznaczone było, że znajduje się w niej „Cafe”. Nazwa myliła. Nie było tu niczego, co przypominałoby kawiarnię. W lecie można było się tu napić kawy, o ile w tym czasie byli w osadzie pasterze.

Późnym wieczorem zeszliliśmy na dno doliny. Pierwszą budowlą na jaką się natknęliśmy był betonowy bunkier. Albania to dwa razy większy kraj od Czarnogóry i bardziej ludny. Zamieszkuje go ponad 3 mln mieszkańców. Wkrótce doszliśmy do pensjonatu Kol Gjoni. Po czternastogodzinnej wędrówce, właściwie bez jedzenia, byliśmy wyczerpani.

Pensjonat stanowiły dwa budynki. Jeden piętrowy, przypominający dom jednorodzinny, w którym znajdowały się pokoje

gościnne. Drugim była stara stodoła, przerobiona na kuchnię i stołówkę. Na szczycie głównego budynku umieszczono sporych rozmiarów drewniany krzyż. Dodam tylko, że w Albanii większość ludności wyznaje islam. W naszym pokoju nie było łazienki. Ta znajdowała się w korytarzu. Była identyczna z tą jaką mieliśmy do dyspozycji w Czarnogórze.

Na obiadową kolację podano zupełnie soczewicy, wędzone baranie żeberka i mnóstwo sałatek. Było w czym wybierać. Po chwili w stołówce zjawiła się grupa kilkudziesięciu dziewczyn. Ich opiekun mówił dobrze po polsku. Od niego dowiedzieliśmy się, że są studentki z Tirany.

Góry w Albanii były dzikie, ale dziewczyny w niczym nie ustępowały współczesnym Europejkom. Były piękne, zadbane i modnie ubrane. Widać było, że kilka z nich, było już po zabiegu zwiększenia objętości ust. Gdy opuściliśmy stołówkę wniosły do niej sprzęt nagłaśniający i urządziły tańce. Takie bałkańskie. Nie stroniły też od alkoholu. Siedząc przed pensjonatem byłem świadkiem, jak niektóre z nich, koleżanki dosłownie wносиły do pokoi.

Potrzebowaliśmy jednego dnia odpoczynku. Po śniadaniu wybraliśmy się na kilkunastokilometrowy spacer w głąb doliny nad położony w jednej z jej odnóg potężny wodospad. Droga była kamienista i kilkakrotnie musieliśmy przeprować się przez wartką rzekę. Po drodze miały nas busy z pasażerami wzbijające tumany kurzu.



Na szczycie Kolata e Mire, 2525 m n.p.m. (fot. Janusz Pilszak – PTT K/Kozy)

Zanim dotarliśmy nad wodospad zatrzymaliśmy się w przydrożnym „Cafe” prowadzonym przez małżeństwo starsuszek. Można było u nich zamówić kawę i piwo, które chłodziło się w drewnianej skrzyni wstawionej do przepływającego tuż obok strumyka. W Albanii walutą jest lek, ale wszędzie można było płacić euro. Wielką radość sprawiliśmy gospodarzom prosząc ich o rakiję (rodzaj samogonu).

Dzień był bardzo ciepły. Zatem po dotarciu nad wodospad można było, dosłownie

nie na sekundę, wskoczyć do lodowatej wody. W drodze powrotnej ponownie zatrzymaliśmy się w tym samym „Cafe”. W lokalu znajdował się archaiczny sprzęt do odtwarzania muzyki. Jednak nie dało się go uruchomić. Mój kolega poprosił gospodarzy o śrubokręt i po chwili rozległa się już bałkańska muzyka. Jako wynagrodzenie dostał butelkę piwa.

W tym czasie pod „Cafe” podjechało kilka wypasionych terenowych Nissanów z jednej z agencji wyprawowych z Tirany. Przywiozły nad wodospad, a jakże, naszych zachodnich sąsiadów. Pałące słońce i rakija na tyle nas rozleniwiły, że w drodze powrotnej skorzystaliśmy z miejscowego, delikatnie rzecz ujmując, mocno wyeksploatowanego busa, który zawiózł nas do pensjonatu.

Tu czekała na nas kolejna niespodzianka. Po pięknych i sympatycznych studentkach nie było ani śladu. Ich miejsce zajęli pracownicy jakiejś albańskiej korporacji. Pod okiem trenerów uczyli się współdziałania w grupach grabiąc i stawiając stogi z sianem. Następnie grali w kalambury i jakieś inne gry.

Kolejna noc była dla nas krótka. O godz. 4 byliśmy już na nogach. Niebawem przyjechał nasz nowy przewodnik. W niczym nie przypominał poprzedniego. Był to około trzydziestoletni, niezwykle przystojny Albańczyk zajmujący się zawodowo wspinaczką wysokogórską. Tym razem celem naszej wędrówki była

góra Poplukes (2569 m). Z Valbony to jakieś 1448 m w pionie. W tych warunkach był to trudny i niebezpieczny szczyt. Zabraliśmy ze sobą raki, czekany i kaski.

Z pensjonatu podjechaliśmy busem do znanego nam już „Cafe”. Po 40 minutach marszu dotarliśmy do „Simoni cafe”. Tak nazywał się kompleks skleconych, z czego się tylko dało, kilku szałasów. W sezonie pełnił on rolę prowizorycznego schroniska. Choć właśnie rozpoczęło się kalendarzowe lato, nie było w nim żywej duszy.

Kilkadziesiąt metrów powyżej znajdował się ogromny kocioł pokryty nadal grubą warstwą śniegu. Słońce paliło niemiłosiernie. Bez kominiarki i okularów nie dało się wytrzymać. Wspinaczka w rakach po zaśnieżonych stokach, o dużym nachyleniu, wymagała skupienia uwagi. Miała jednak i zalety. Można było trawersować na przełaj, co było łatwiejsze niż po trawiastych i skalnych ścieżkach.

Gdy zbliżaliśmy się do górnej granicy kotła drogę przecięto nam stado dzików. Ich pojawienie się na tej wysokości i w tym miejscu zaskoczyło nawet naszego Przewodnika. Wokół były zaledwie małe skrawki terenu nie pokryte śniegiem. Po godzinie dotarliśmy do kolejnego, równie dużego kotła. Po jego przejściu weszliśmy na niewielką przełęczkę tuż pod kopułą szczytową. Stąd na szczyt pozostała jeszcze godzina wspinaczki po bardzo stromym zaśnieżonym stoku, a następnie po skale.

Kolega zmierzył poziomą nachylenie i wyszły mu 320. Wyżej było ono jeszcze większe. Wszystkie zbędne rzeczy zostawiliśmy na przełęczce i ruszyliśmy w górę. Tempo mieliśmy duże. Nie było się co oszczędzać. Stromy zaśnieżony stok należało pokonać jak najszybciej. Po 40 minutach stanęliśmy na szczycie. Zejście na przełęczkę było o wiele trudniejsze. Nachylenie powodowało, że trzeba było mocno asekurować się czekaniem, by nie polecieć co najmniej 500 m w pionie w dół na dno kotła.

Przed zmrokiem dotarliśmy do pensjonatu. Tu po raz kolejny czekała na nas niespodzianka. Ludzi z korporacji zastąpiła inna grupa. Około 40 osób, wśród których były i małe dzieci, siedziało na tarasie i się modliło. Pośród nich był zakonnik ubrany we franciszkański habit.

Albański to trudny do zrozumienia język. Dla przykładu: Dzień dobry to *Mirëmengjes*, proszę – *Ju lutem*, nazywam się... – *Emri im është...* itd.

W Kosowie i Czarnogórze używany był język serbski należą do grupy języków południowosłowiańskim i jako taki brzmiał dla naszego ucha znajomo i zrozumiale. Jednak tereny, przez które przechodziliśmy były zamieszkałe w większości przez Albańczyków. Dlatego dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, że odmawiają koronkę do Miłosierdzia Bożego.

Przed położeniem się spać ponownie przepakowaliśmy bagaże. Do podręcznych plecaków włożyliśmy wszystko co będzie nam potrzebne przez następne trzy dni. Bus pozostanie jeszcze dwa dni w pensjonacie, a następnie przyjedzie do Czarnogóry, skąd nas odbierze.

Wczesnym rankiem pożegnaliśmy piękną dolinę Valbony. Naszym celem było przejście do doliny Dobërdoll. Do przejścia

mieliśmy jakieś 20 km z przewyższeniem sięgającym grubo ponad 1000 m. Był to jeden z najpiękniejszych odcinków szlaku. Mniej więcej po dwóch godzinach marszu przez przepięknie ukwiecone łąki dotarliśmy do szałasów pasterskiego, położonego obok szutrowej drogi oznaczonego na mapie jako „Cafe”. Oczywiście, jak wszystkie dotąd napotkane tego typu obiekty, i ten był nieczynny.

Niebawem przekroczyliśmy granicę z Czarnogórą. Dzisiaj zrobimy to jeszcze raz, ponownie wracając do Albanii. Na szlaku czekały na nas dobrze już nam znane problemy. W sosnowym lesie leżały duże ilości śniegu i trudno było się zorientować gdzie biegnie szlak. Do tego część drzew leżała przewrócona, a ich obejście skutecznie wydłużało wędrowanie. Ze dwa razy zaliczyłem także studnie drzewne. Na szczęście nie były zbyt głębokie.

Około godz. 13 dotarliśmy wreszcie do Qafa e Aljucit (1916 m), przełęczki, z której było już widać w oddali cel naszej dzisiejszej wędrowki. Na mapie było tu zaznaczone kolejne „Cafe”, czyli szałas. W okolicy nie było żywego ducha. Wraz z pokonaniem przełęczki problemy się nie skończyły. Szlak poprowadzono wysoko po stromym stoku pokrytym nadal śniegiem.

Sama dolina Dobërdoll (+/- 1800 m n.p.m.) to było niezwykle miejsce. Znajdowało się tu kilkanaście prowizorycznie ogrodzonych gospodarstw pasterskich, w których można było przemocować. Na razie stały puste. Całość otaczały wysokie na ponad 2.000 metrów górskie szczyty.

Wieczorem okazało się, że jednak nie byliśmy tu sami. Szałas obok nas zajmowało małżeństwo z Anglii. Tak dokładnie to on był Albańczykiem mieszkającym w Wielkiej Brytanii, a jego żona Angielką, o wybitnie azjatyckich rysach. Pragnął on pokazać małżonce rodzinne strony. Miał jednak pecha. Podczas wędrowki poślizgnął się na kamieniu i złamał kość piszczelową w prawej nodze. Rankiem załadowano go na konia, a następ-



W drodze na Maja e Poplukes - dolny kocioł (fot. Janusz Pilczak - PTT K/Kozy)

nie do terenówki i dostarczone do szpitala.

Nowy dzień przywitał nas piękną pogodą. Było bardzo parno, co wskazywało na możliwość burzy po południu. W planie mieliśmy wejście Dzierawicę (Djeravica 2656 m), najwyższy szczyt Kosowa. Wyszliśmy z osady dość późno bo około godz. 8. Po dotarciu na przełęcz Qafa e Ali Celes (2260 m), po raz pierwszy zobaczyliśmy cel naszej dzisiejszej wędrowki. Prawdę mówiąc, szanse dojścia choćby tylko do podnóża tej góry, od tej strony i w tych warunkach, od razu wydały się nam nikłe.

Postanowiliśmy jednak spróbować. Z przełęczki skręciliśmy ostro w prawo i niebawem przekroczyliśmy granicę z Kosowem, niewielkim, bo zaledwie o powierzchni niecałych 11 tys. km² i blisko 2 mln mieszkańców, spornym do dzisiaj terytorium dawnej Serbii. Po stromym śnieżnym stoku ruszyliśmy w kierunku jeziora Zemra, które swym kształtem przypominało popularny symbol ludzkiego serca.

W latach dziewięćdziesiątych XX w. dokonano się na terenie tych kilkunastu tysięcy kilometrów kwadratowych ostatnie, w tym strasznym stuleciu, masowe ludobójstwo. Gdy w 1998 r. w kawiarnianym ogródku na placu św. Marka w Wenecji popijałem kawę ze zgrozą patrzyłem na przelatujące nisko samoloty NATO w ramach przygotowań do operacji Allied Force. Sześć miesięcy

później nastąpiły intensywne bombardowania Serbii, by zmusić ówczesne władze tego kraju do zaprzestania czystek etnicznych w Kosowie.

Schodziliśmy ostro w dół, klucząc w poszukiwaniu w miarę bezpiecznej drogi, przez kolejne pola śnieżne. Szczególnie niebezpieczne były ich dolne obrzeża, spod których wypływały wartkie strumienie. Do godz. 12 udało się nam dojść w pobliże jeziora. Według mapy i GPS, (wędrowaliśmy bez miejscowego przewodnika), szlak w kierunku odległego nadal szczytu biegł trawersem w połowie długiego stromego skalnego stoku, które pokrywała miejscami gruba warstwa śniegu.

Po chwili namysłu podjęliśmy decyzję o zawróceniu. Po powrocie na przełęcz skręciliśmy w lewo i ruszyliśmy na szczyt Begicaj (2406 m), a następnie na Tromeda (2366 m). Ten ostatni szczyt to było ciekawe miejsce. Na nim zbiegały się granice trzech państw: Albanii, Czarnogóry i Kosowa.

Gdy stanęliśmy na jego drugim wierzchołku, słońce zasnuły chmury i zaczął padać deszcz. Po chwili się jednak przejaśniło, ale od strony Czarnogóry, a także Albanii, słychać było grzmoty. Zbliżała się burza i to niejedna. Z tego szczytu szlak do osady prowadził drogą okrężną przez widoczną w oddali przełęcz. Dojście do niej utrudniało wielkie i strome pole śnieżne.

Nie było czasu na zastanawianie się. Ruszyliśmy po stoku prosto w dół w kierunku widocznych w dole naszych szałasów. Należało bardzo uważać, skały i trawy były bardzo śliskie, a stok niezwykle stromy. Po mniej więcej półtorej godzinie karkołomnego zejścia dotarliśmy na dno doliny. W samą porę. Gdy weszliśmy do szałasów niebo zaczęły rozjaśniać błyskawice i lunął deszcz. Do osady dotarli też nowi turyści, czterech Ukraińców i dwóch Belgów.

Rankiem pożegnaliśmy naszych gospodarzy z doliny Dobërdoll i ruszyliśmy na pobliską przełęcz, na której, po raz kolejny, przekroczyliśmy granicę Albanii z Czarnogórą. Był to już ostatni dzień naszej wędrówki.

Podczas podejścia, na ledwo widocznej ścieżce znalazłem łuski kalibru 7,62. Długością przypominały te używane do karabinka AK-47. Co ciekawe były one jeszcze na tyle „świeże”, że pachniały prochem. Przed wyjazdem ostrzegano nas, że tędy wiedzie przemytniczy szlak i należy zachować ostrożność.

Szlak prowadził wygodną szutrową drogą przez piękny i bardzo stary sosnowy las. Wiele z pni sosen miało ponad dwa metry średnicy. Niektóre były nadpalone. Jakiś czas temu musiał tu szaleć pożar. Po dojściu na Veliki Hrid (2066 m) skręciliśmy w prawo i zeszliśmy do Hridskiego Jezera (1964 m). Znajdujący się tu drogowskaz informował, że do doliny Doverdol jest 20 km. Miejscami nad brzeg jeziora schodziły ogromne jęzory śniegu. Zatrzymaliśmy się tu na dłuższy postój.

Po kolejnym półtoragodzinnym marszu doszliśmy do Bajrovića katun. Stąd do Babino Polje pozostało nam jeszcze 3,7 km szutrową drogą. Około godz. 18 dotarliśmy do pensjonatu, który był pięknie położony w lesie na wysokości 1500 m. Jego właściciel miał jedną charakterystyczną cechę: wzrost około dwóch metrów.

Niebawem na miejsce dojechał nasz bus. Zabraliśmy bagaże, które przed powrotem do Polski należało odpowiednio spakować. Po kolacji rozpaliliśmy ognisko. Właściciel pensjonatu nie mieszkał w nim, ale w położonej o kilka kilometrów dalej osadzie, więc zostaliśmy sami. W miłej atmosferze świętowaliśmy zakończenie wyprawy.

Po dotarciu do Babino Polje GPS pokazał, że przez 9 dni przeszliśmy w sumie 139,8 km. W tym czasie weszliśmy m.in. na szczyty: Valušnica (1879 m), Popadija (2057 m), Taljanka (2030 m), Maja e Roshit (2524 m), Graben (2196 m), Kolata e Mirë (2525 m), Poplukës (2569 m), Begicaj (2406 m), Tromeda (2366 m) i Bogicevice (2141 m).

Podróż do kraju zajęła nam dwa dni. Sprawnie dojechaliśmy do granicy serbsko – węgierskiej i równie sprawnie się odprawiliśmy. Problemy zaczęły się na terenie Słowacji. Droga, którą jechaliśmy była w remoncie i co jakiś czas staliśmy w długich korkach. 24 czerwca o godz. 21 wyprawa w piękne i dzikie Góry Przekłete dobiegła do końca. ■



Pensjonat Kol Gjoni – Albania (fot. Janusz Pilszak – PTT K/Kozy)



Dolina Doberdol - miejsce niezwykle (fot. Janusz Pilszak – PTT K/Kozy)



Szczyt Tromeda (2366 m) - tu zbiegały się granice trzech państw: Albanii, Czarnogóry i Kosowa (fot. Janusz Pilszak – PTT K/Kozy)

Kirgizja

Uczestnikami wyprawy, która odbywa się w dniach od 25 czerwca do 11 lipca 2021 r. są Mariusz (organizator), Irena, Stefan, Ewa, Bożena, Zdzisław, Justyna, Anna, Zbigniew i Marek.

Lecimy z Warszawy przez Stambuł do Biszkeku liniami Turkish Airlines. Przesiadka na ogromnym, nowoczesnym lotnisku w Stambule. W Biszkeku jesteśmy w sobotę rano. Hotel opłacony przez booking.com nie funkcjonuje od początku pandemii. Kierowca zawozi nas w inne, miłe miejsce, dokąd potem wracamy dwukrotnie z naszej trasy trekkingowej. Odpoczywamy po lotach, idziemy na bazar i robimy zakupy na pierwszą trasę. Duży ruch na ulicach, gorąco. Gdy zawieje wiatr, okleja nas kurzem. Boczne ulice często mają nawierzchnię szutrową.

W niedzielę jedziemy 30 km do parku Ala Arcza (2150 m n.p.m.). Nasza trasa piesza ma 8,5 km długości i 1200 m przewyższenia. Czas przejścia przewidywany jest na ponad 8 godzin. Idziemy w słońcu. W połowie drogi znajduje się duży wodospad. Tam idzie większość turystów (wielu w klapkach). Druga część trasy sprawia nam kłopoty z oddychaniem. Docieramy z trudem na 3300 m n.p.m. do schroniska Racek Hut. Dwa noclegi mamy tu zaklepane. Nazajutrz trzy osoby zostają, reszta w grupkach idzie w kierunku szczytu Uczitelta (4541 m n.p.m.). Po południu przesuwają się w naszą stronę chmury burzowe, co powoduje, że Ewa i Justyna po zdobyciu szczytu szybko ewakuują się. Reszta zawraca z niższego dystansu, nie dochodząc do szczytu. Burza na szczęście omija nas. Zamawiamy kolację, dostajemy połowę porcji (pan się pomylił). Z uwagi na dłuższy czas przygotowania posiłku



resztę dań robimy sami z naszych zapasów.

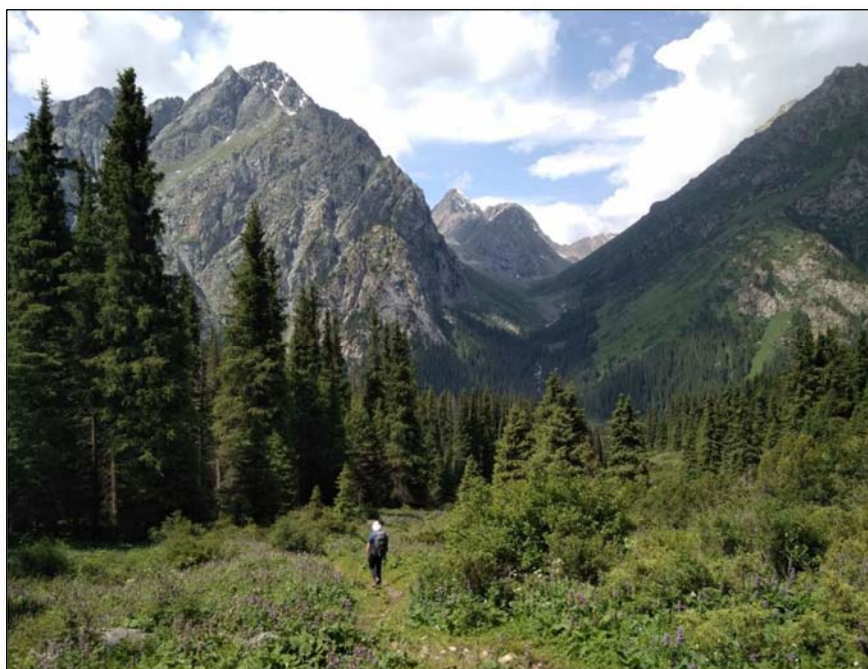
Rano schodzimy i zaaklimatyzowani wracamy do Biszkeku. Kupujemy bilety na lot do Osh na następny dzień. Lot trwa 40 min, a samochód przez góry jedzie około 12 godzin. Bilet na samolot kosztuje ok. 100 zł (lot o godzinie 13, bo poranny jest 2 razy droższy), przejazd busem kosztuje podobnie. Rozwiązanie nasuwa się samo. Szukamy biura. Jedno nieczynne, drugie pół godziny przed zamknięciem odmawia współpracy, dopiero trzecie powoli realizuje nasze zamówienie. Można to też zrobić online, lecz dla 10 osób i na komórkach, nie myśląc się przy tym, to jest wyzwanie. Ponadto w jednej sesji można kupić maksymalnie 9 biletów. A co jeśli

braknie dla dziesiątej? Po prawie 1,5 godz. dostajemy bilety z trzech sesji rezerwacyjnych dla 5, 3 i 2 osób.

W środę lecimy do Osh. Po przylocie negocjujemy przejazd do Sary Mogul, zbijając cenę z 30.000 na 21.500 somów w obie strony. Trwa to długo. Jedziemy i docieramy na miejsce noclegowe wyszukane w googlach. Trafiamy tu na fajnych gospodarzy i dobre jedzenie. Dostajemy w prezencie wysokie czapki (panowie) i chusty na głowę (panie). Gospodarz jest nauczycielem angielskiego. Poza kilkoma domami z cegły reszta budowana jest z gliny i słomy. Podobnie ogrodzenia, które w deszczu częściowo są rozmywane od góry i gdy właściciel ma czas, to w najniższym miejscu dokleja kilka warstw brakującego ogrodzenia. Z tego powodu jest ono różnej wysokości. W zimnym potoku widzimy starszą panią płuczącą i rozwieszającą pranie. Dzieci chętnie się z nami fotografują. Załatwiamy transport na ranny wyjazd do Jurt Campu (25 km) nad jeziorem Tulpar.

W czwartek idziemy w kierunku Piku Lenina. Kilka osób dociera na Przełęcz Wędrowców (4150 m n.p.m.), pozostałe do punktu widokowego. Końcówka trasy do przełęczy błotnista, zygzaki wąskim, stromym trawersem. Mijamy odważnie zjeżdżających konno miejscowych przewoźników zaopatrujących obozy pod Pikiem Lenina. W nocy pada, a jurty przeciekają. Jest zimno, palą nam w piecyku. Z kilku butów wylewamy wodę. Moje łóżko jest zalane. Plecaki wieszamy, aby nie podmokły.

W piątek wracamy do Sary Mogul i przesiadamy się na transport do Osh. Tu są 32°C. Mamy czas na odpoczynek, bazar i wieczorny spacer na wzgórze Sulejmana.





W sobotę jazda do Karakol, prawie 20 godzin. W połowie drogi robimy biwak. Docieramy na miejsce o 1 po północy. Fajne jurtowisko, prawie w centrum Karakol. Tu jurty nie przeciekają. Stoją pod daszkiem. Nad ranem psy szczekają, gęsi gęgają, a z pobliskiego meczetu o licznych porach modłów słychać muezina.

W niedzielę odpoczywamy, a w poniedziałek mamy zaplanowany wyjazd do jurtowiska Elza w Altyn Arashan niesamowitą drogą, wysoko-zawieszonym samochodem GAZ. Pod koniec trasy samochód nie wyrabia – wysiadamy, a kierowca mokrym mchem chłodzi przegrzane elementy pojazdu. To pomaga i docieramy szczęśliwie do celu. Wieczorem kolacja i kąpiel w termalnych źródłach.

We wtorek idziemy na trasę do jeziora Ala Kul przez przełęcz Ala Kol (3900 m n.p.m.). Trzy osoby wychodzą wcześniej. Nasza grupa ponad godzinę później. Piękne widoki. Mylimy ścieżki i po korekcie już wiemy, że tracimy ok. 2 godzin. Spotykamy grupę Polaków, którzy wyliczają nam trasę na wiele godzin, ponieważ w tym sezonie nieliczne jurtowiska są czynne. Nie zawracamy, lecz dzielnie drapiemy się, nie zaśnieżonym stromym żlebem, a skośnym, mniej stromym podejściem. Z trudem docieramy na przełęcz wieczorem. Plusem jest piękne oświetlenie szafirowego jeziora. Trwa sesja zdjęciowa. Grzmi, a za jeziorem gromadzą się ciemne chmury. Jezioro długie, a zejście strome. Schodzimy w okolicy wodospadu i zapada ciemność. Do pierwszej doliny mamy ok. 2 km, ale i 600 m w pionie. Nie ryzykujemy nocnego ostrego schodzenia. Są miejsca płaskie, gdzie stoi kilka namiotów. Śpimy pod chmurką do świtu. Na szczęście jest to najcieplejsza i bezdeszczowa noc. (w kolejną pada). O świcie schodzimy te strome 2 km przez 2 godziny i w ostatnim momencie dochodzimy do jurta camp „siriota” (ale bez jurty, jest tylko szałas), gdzie nasza, nocująca

tu, trójka szykuje się do wyjścia. Patrzą na nas jak na zjawy, bo byli przekonani, że zawróciliśmy i nie dotarliśmy na przełęcz. Nie muszę dodawać, że łączności komórkowej w górach brak i komunikacja zaczyna się dopiero w pobliżu wsi lub miast. Teraz „tylko” 3 km do jurtowiska, skąd można załatwić transport do Karakol. Pani z jurty mówi, że może załatwić samochód, ale kontakt satelitarny będzie miała dopiero o pełnej godzinie. W tym czasie możemy pokrzepić się zimnymi napojami, a także odpocząć w jurtach. Wybieramy napoje i wypoczynek plenerowy. Wysoko zawieszony samochód podejżdża po nas po dłuższym oczekiwaniu. Kierowca pokonuje rwącą rzekę i mniejsze potoki. Obserwujemy nietypowy sposób połowu ryb na wędkę – dwaj rybacy siedzą na koniach. Dojeżdżamy do Turkestan Jurt Camp w Karakol, skąd wyruszyliśmy 2 dni temu.



To bardzo dobre miejsce noclegowe. Gospodarz jest w stanie załatwić każdy transport w okolicy.

W środę brakuje dwoje uczestników – nie wrócili wczoraj z gór. Nie mamy z nimi kontaktu. Jedziemy do wąwozu Skazka z kolorowymi skałami. Dalej jedziemy na plażę największego jeziora Kirgistanu – Issyk Kul. Jezioro to leży na wysokości 1609 m n.p.m. i zajmuje powierzchnię 6280 km². Uznawane jest za drugie co do wielkości jezioro obszarów górskich świata, po jeziorze Titicaca. Maksymalna głębokość wynosi 702 m. Zasolenie według Wikipedii to 5,8‰. Tu dowiadujemy się, że pozostali uczestnicy naszej wyprawy gonią nas i dojadą za 2 godziny. Razem jedziemy dalej do Kaszkor. Tam mamy kolację i mamy super nocleg.

W czwartek jedziemy do jurty nad jeziorem Son Kul, długie na 30 km. Mamy czas na spacer nad jeziorem i jazdę konną dla chętnych. Nazajutrz idziemy na najwyższą górę po tej stronie jeziora. Szczyty są nienazwane, na mapach nie ma ścieżek. Po drodze korygujemy plany i wchodzimy na drugi co do wielkości szczyt (3780 m n.p.m.). Burza straszy nas z różnych stron, lecz tam gdzie jesteśmy w danej chwili nie pada.

W sobotę wczesnym porankiem wracamy do Biszkeku, gdzie robimy ostatnie zakupy.

W trakcie wyprawy kilkakrotnie pokonaliśmy długie dystanse zarówno górskie, jak i drogowe. Szczęśliwie dopisywała nam dobra pogoda. Ciekawy program wyprawy został zrealizowany w całości. Przykładowe ceny to: optymalna karta do komórki na 1 miesiąc – 20 zł, nocleg ze śniadaniem – 35 zł, taksówka w mieście – 7,50 zł, jedzenie tanie. Walutą miejscową jest som (100 somów to 4,5 zł).

wszystkie fotografie pochodzą z archiwum Ireny i Stefana Sytniewskich

Dolina Małej Łąki – zapraszamy na reglowe spacery...

Lato sprzyja górskim wyprawom z PTT. Zapraszam tym razem w Tatry na kilku-godzinny spacer w dwa światy Doliny Małej Łąki. Dolna część opisanej doliny ma reglowy charakter, dużo tu lasów i stosunkowo mało widoków. Górna odwrotnie, pozwala na oglądanie wspaniałej panoramy na północne stoki Czerwonych Wierchów i masyw Giewontu. Najmniejsza z tatrzańskich dolin walnych – Dolina Małej Łąki jest wręcz idealnym miejscem na dłuższy lub krótszy górski spacer. Tym bardziej, że otwiera się na południe, ku słońcu. Miejsce to skrywa liczne pasterskie, radownicze, topograficzne i przyrodnicze ciekawostki. O nich będzie mowa.

Dolinom, dolinom...

Sezon w pełni i nieraz trudno znaleźć w Tatrach miejsce puste i w miarę zaciszne. W moim odczuciu takim jest Dolina Małej Łąki w Tatrach Zachodnich. Dolina jest niewielka, ma 4,5 km długości. Górale podhalańscy, którzy w dawnych czasach paśli tutaj owce i krowy w Małej Łące śpiewali: *Dolinom, dolinom, ino nie wiem wtórom – cy se Małołackom, cy se Kondratowom*. Coś w tym jest, że właściwy wybór trasy wycieczki wcale nie jest łatwy. Gdy jednak wybierzemy Małą Łąkę na cel spaceru, to trafiamy do niej jadąc z Zakopanego na zachód. Auto zostawiamy na wygodnym parkingu przy wylocie doliny (932 m) i idziemy, obok leśniczówki, do budki, gdzie kupimy bilety wstępu do TPN. Mieszkańcy Zakopanego i okolic są zwolnieni z opłat. W lewo odbija czarny szlak ścieżki pod Regłami. Dalej idziemy w górę, wzdłuż szlaku koloru żółtego, obok Małołackiego Potoku, mijając po drodze porośnięte świerkiem stoki Pieronki (po lewej naszej ręce) i Hrubego Regła (po prawej). O Hrubym Reglu pisał w Legendzie Tatr Jalu Kurek, opisując polowania słynnego Klimka Bachledy na jelenie i sarny. Powoli wnosimy się dnem doliny w górę. Mijamy ujęcie wody pitnej dla przysiółka Krzeptówki. Tatry pełnią więc służebną rolę dla ludności Zakopanego i okolic dając im wspaniałą, czystą i dobrą, górską wodę. Po około 20 minutach spaceru dochodzimy do miejsca, gdzie niebieski szlak idzie w prawo, do Doliny Miętusiej, a nasz skręca na południowy-wschód, w kierunku na Wielką Małołacką Polanę. To miejsce, gdzie obecnie się znajdujemy nazywało się po góralsku Satra (w lesie, przy szlaku stał dawno ładny szałas, który jakiś czas temu rozpadł się ze starości i zniknął). Przy szlaku mamy wygodną ławeczkę, gdzie możemy odpocząć i podziwiać leżącą przy strumieniu Gmińską Turnię (Rapasiowa Turnia), którą tworzą trzy turniczki o wysokości kilkunastu metrów, które są porośnięte miejscami kosówką. Sama turnia leży u wylotu Gmińskiego Żlebu, w dolnej części Miętusiej i na

granicy z Małą Łąką. Teraz zaczynamy nieco stromszą część podejścia, obok zanikającego potoku. Dwa stromsze podejścia i długi, płaski odcinek szlaku, wyprowadzają nas na Wielką Małołacką Polanę (wysokość ok. 1170-1200 m). Tutaj widzimy już nie tylko otaczające nas regle, ale i wyniosłe turnie. Północne urwiska Czerwonych Wierchów opadają stromymi stokami na stronę naszej doliny. Potężne ściany wywołują nasrój majestatu i potęgi gór.

Pasterskie historie...

Warto przypomnieć, że polana powstała na dnie dawnego jeziora o lodowcowym charakterze. Pierwsi byli tutaj podhalańscy górale, którzy od roku 1593 uzyskali prawo do wypasu owiec w *Małołące*, jak to miejsce nazywali. Na Wielkiej Polanie znajdowało się wtedy ok. 10 szałasów pasterskich. W okresie międzywojennym, ale i po wojnie, ludność Krzeptówek lubiła tu zaglądać latem w niemal każdą niedzielę, by pobyć w świecie gór. Bacowie i juhasi częstowali serami i *zyntycą*, a ludzie bawili się, tańczyli, śpiewali i grała góralska muzyka. Sytuacja zmieniła się w latach 1961-64, gdy wraz z powstaniem Parku teren został od górali wykupiony. Z czasem zniknęły też niestety góralskie szopy i szałas. Jesienią i na wiosnę widać jeszcze w trawie zarysy ich fundamentów. Jeden szałas stał także na Małej Polanie, przy czarnym szlaku na Przełęcz w Grzybowcu. Hala Mała Łąka należała do najważniejszych hal pasterskich w całych polskich Tatrach.

Wielka Polana to wspaniała punkt widokowy. Widać tu jak na dłoni, potężne urwiska skalne, schodzące na stronę doliny. Od lewej strony widzimy masyw Giewontu i Małego Giewontu, Siodło i Siodłową Turnię, Mnichowe Turnie: Dziadka i Babkę. Wspaniale prezentuje się Wielka Turnia Małołacką, Pośrednia i Skrajna Turnia oraz Turnia Zagonna. Po prawej stronie widać zarośnięty smrekami stok Skoruśniaka (kiedyś cudne maliny), a po lewej Grzybowiec z turniczkami: Kohuta i Łysanek. Na polanie są ławki do odpoczynku. Stąd zaczynają się wysokogórskie szlaki na Czerwone Wierchy, Przełęcz Kondracką i Giewont, oraz te mniej wymagające: na Przysłop Miętusi, do Stanikowego Żlebu i na Przełęcz w Grzybowcu.

Magiczna panorama...

W górnej części Małej Łąki widać, opadające stromymi na ponad 400-metrów ścianami, turnie. Pierwszą z nich jest Wielka Turnia Małołacki (1847 m), zwana jest też Wielką Turnią Małołacką. Opada ona do górnego piętra Małej Łąki ścianami skalnymi o wysokości od 350-500 metrów (Kunicki, Szczerba podają 420 m). Pomiędzy nimi wiją się żleby. Wśród nich wyróżnia



(fot. Wojciech Szatkowski)



Giewont (fot. Józef Oppenheim – z archiwum Muzeum Tatrzańskiego)

się Łamany Żleb, schodzący do Tunelu Małomiastki oraz Zagonny Żleb, o nastromieniu, w górnej części przekraczającym 50 stopni. Zagon tworzy bardzo stromy zachód, spadający pochyło do Doliny Małej Łąki. Górna część jest trawiasta, choć nadzwyczaj stroma, a dolna podzielona jest na dwie części. Lewa część Zagonu jest trudna i skalista, a prawa łatwiejsza. Żleb ma przewyższenie ok. 280-300 metrów. Zimą, a właściwie na wiosnę, schodzą nim potężne lawiny śnieżne, który swój bieg kończą kilkaset metrów poniżej, na polanie Wyżnie. Pierwszego przejścia lewej części tego żlebu dokonali ratownicy TOPR: Władysław Cywiński i Jacek Bilski w 1993 roku. Ciekawym, choć smutnym wydarzeniem w tym rejonie, był wypadek niedźwiedzia brunatnego. Niedźwiedź wyszedł w stromy teren skalny, powyżej figurki Matki Boskiej i prawdopodobnie się poślizgnął. Zwierzę nie przeżyło upadku z takiej wysokości.

W turniczkach poniżej, w skalnej wyży, znajduje się figurka Matki Boskiej (z 1892 r., ufundowana przez panią Baurowicz, jako wotum dziękczynne za uratowanie syna). Na prawo od Zagonu jest Zagonna Turnia, a za nią urokliwa Siwarowa Przełęcz, a z niej z kolei spada Uwieszony Żleb, który też ma mały próg skalny. Jest też turnia Niedźwiedź. Za Siwarową Przełęczą znajduje się najwyższy szczyt leśnego grzbietu Skoruśniaka. Natomiast po drugiej stronie Wyżniego znajduje się mały żlebek, zwany Uplazek (nazwa góralska, pochodzenia pasterskiego), który prowadzi na Przełęcz Bacuch, słynną z unikalnych zupełnie artystycznych fotografii Giewontu, wykonanych z tego właśnie miejsca. Ich autorem był naczelnik TOPR, narciarz, taternik i świetny fotograf – Józef Oppenheim. Powyżej znajduje się Głazisty Żleb, którego dnem prowadzi szlak na Kondracką Przełęcz. Jeszcze wyżej, spod Kopy Kondrackiej, do Wyżniej Świstówki, schodzi stromy Koprowy Żleb. Wyżnia Świstówka

schodzi do Niżniej przez bardzo stromy próg skalny, zwany Przechodem. Kustosz Muzeum Tatrzańskiego miał tutaj ongiś niezwykłą przygodę. Wczesnym rankiem widziałem ze szlaku następującą sytuację. Na Wielką Polanę wbiegła sarna. Nie biegła jednak na wprost, lecz czyniła zręczne uniki, skacząc to w lewo, to w prawo. Dlaczego? Sytuacja wyjaśniła się po dosłownie kilku sekundach, gdy na polanę, w pogoni za sarną, wpadł potężny wilk (basior). Dopóki sarna była w otwartym terenie, miała niewielką szansę na ucieczkę przed drapieżnikiem. Gdy jednak wpadła w pewnym momencie w las świerkowy na Skoruśniaku, słyhać było tylko dramatyczny pisk mordowanego przez drapieżnika zwierzęcia. No cóż – taka jest przyroda... Ta dolina to dla mnie wspomnienie beztroskiego dzieciństwa. Spędzaliśmy tutaj z rodzicami i babcią Marysią całe dni, oglądaliśmy góry, a babcia lubiła spać sobie pod smrekiem na polanie. A my z kuzynami i kuzynkami hasaliśmy wtedy po polanie i jej okolicach. Zbieraliśmy smakowite, duże maliny w Skoruśniaku, bądź pomarańczowe rydze w Grzybowcu... to było wspaniałe

dzieciństwo, za które dziękuję moim rodzicom i babci.

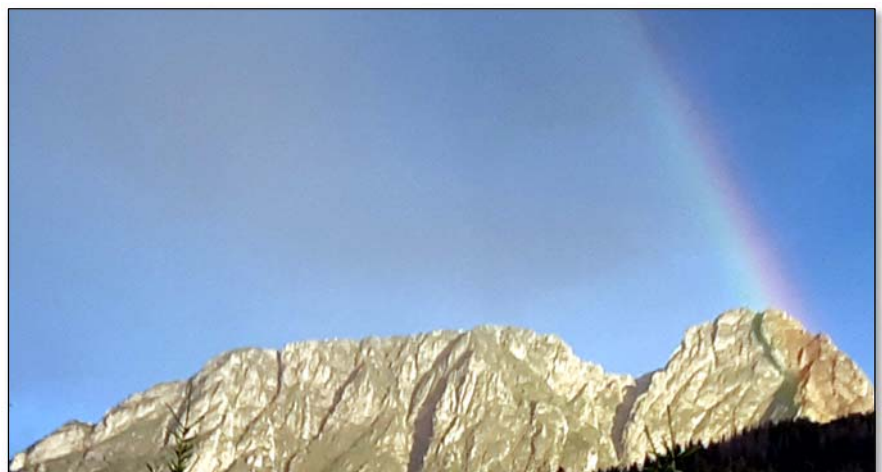
W okolicznych turniach i skalnych żlebach zakłeta jest jeszcze jedna tajemnica.

Poszukiwania Aldony Szystowskiej

Jest rok 1912. Lato. Aldona Szystowska była tego dnia z wycieczką studentów na Czerwonych Wierchach i wracała już do domu. W pewnym momencie odłączyła się od grupy. Gdy po kilkunastu minutach nie wracała, jeden z opiekunów wyruszył na poszukiwania, ale Aldony nie znalazł. Po powrocie do Zakopanego opiekunowie młodzieży zawiadomili TOPR i ratownicy w oddziałach wyruszyli, na czele z Mariuszem Zaruskim, na poszukiwania dziewczyny. Poszukiwania trwały wiele dni, ale nie zakończyły się wyjaśnieniem tej tragedii. Trwało to prawie miesiąc. Dopiero podzielenie ratowników na grupy, trawersujące z boczna dało efekt. Przy trawersowaniu okolic Wielkiej Turni ratownik TOPR Stanisław Zdyb wypatrzył plecak zaginionej dziewczyny, a nieco później ciało Aldony. Ciało dziewczyny zostało zwiezione wozem do Zakopanego, a kolejna tajemnica Czerwonych Wierchów została tym razem im wydarta i wyjaśniona.

Pokochaj regłowe spacery!

Regłowe spacery to także okoliczne dolinki i szlaki. Czarnego koloru szlak zawiedzie nas na Miętusią, na zachód oraz do Strąskiej na wschodzie. Przez rzadko odwiedzany Stanikowy Żleb i Stanikowe Siodło czerwonym szlakiem dotrzemy na Kiry. Tatrzańskie ścieżki prowadzą nas w głąb tej pięknej doliny. Z Doliny Małej Łąki możemy dotrzeć także na Czerwone Wierchy i Giewont. Możemy przez Kondracką Przełęcz dojść na Kondratową. Miłych spacerów do Doliny Małej Łąki i w jej najbliższych okolicach Państwu życzę. A wychodząc z objęć regłowej doliny macie możliwość popatrzeć na masyw Giewontu. Może tam coś ciekawego dojrzyicie? Ja znalazłem tam pewnego spaceru piękną tęczę... I jak tu nie kochać tych gór, za to co nam za każdym razem dają. ■



Tęcza nad Giewontem (fot. Wojciech Szatkowski)

STASZEK WŁODYKA

Zmienił stryjek siekierkę

„Zmienił stryjek siekierkę na kijek” to określenie transakcji, która jednej stronie przynosi korzyści (to ten kto miał wcześniej kijek), a drugiej oczywiście stratę (to oczywiście ten, który pozbył się siekierki).

Dokładnie 70 lat temu, 15 lutego 1951 roku, doszło do ostatecznej po zakończeniu II wojny światowej korekty granicy między Polską Republiką Ludową a Związkiem Radzieckim. Społeczeństwu przedstawiono tę „konieczność” jako równoprawną transakcję, ponieważ obie strony przekazywały sobie terytorium o powierzchni 480 km². Przynajmniej na pierwszy rzut oka był to typowy dla powojennych stosunków polsko – radzieckich interes – od początku wiadome było, kto na tym zyska.

Polskie władze od samego początku (a na pewno od 22 lipca 1944 roku) podporządkowane były Moskwie i nic ważnego nie mogło się wydarzyć bez zgody „Wielkiego Brata”. 16 sierpnia 1945 roku między Rzeczpospolitą Polską a Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich doszło do podpisania umowy o polsko - radzieckiej granicy państwowej, umowa ratyfikowana została 31 grudnia 1945 roku, a dokumenty obie strony wymieniły pomiędzy sobą 5 lutego 1946 roku i z tym dniem umowa weszła w życie.

Podstawą wytyczenia nowej granicy, zgodnie z ustaleniami Konferencji Jałtańskiej, była „Linia Curzona z odchyleniami na rzecz Polski”. Oczywiście sama Linia Curzona od początku była ideą krytykowaną i odstającą od rzeczywistości, pewnym sztucznym tworem skonstruowanym na potrzeby specyficznej sytuacji międzynarodowej, jaka panowała w Europie wschodniej po Wielkiej Wojnie. Ale to nie przeszkadzało cynicznie wykorzystać jej przez ZSRR oraz propagandę PRL-owskich władz. W końcu linię wytyczyli Brytyjczycy, a wspaniałomyślny Wielki Brat dokonywał odstępstw na rzecz Polski.

Mimo tego, że projekt przebiegu granicy był praktycznie ustalony, strona polska łudziła się, że w Moskwie będzie jeszcze mogła negocjować jej ostateczny przebieg. Trudności w dokładnym wytyczeniu (czytaj wyrysowaniu kresek na mapach) sprawała między innymi brak dokładnych map terenu, zniszczenia powstałe po przejściu frontu 1944 roku oraz zwyczajna nieznajomość. Przed 1939 rokiem tereny podlegające wymianie nie były ani zagospodarowane ani specjalnie poznane – traktowano je jako zupełną prowincja bez znaczenia w przyszłości.

Propozycje strony polskiej były przyjmowane przez Moskwę, potakiwano im, przyjmowano nasze argumenty, ale i tak Związek Radziecki przyjął najkorzystniejszą dla siebie interpretację Linii Curzona, odrzucając większość polskich poprawek i propozycji korekt uzasadniając, że przyjęta przez nich granica jest najkorzystniejsza dla Polski.

Jak było naprawdę – trochę wiemy, reszty można się domyśleć. Przyjęte przez ZSRR założenia były często absurdalne i nie mające uzasadnienia. Bo jak zrozumieć brak zgody na przekazanie

stronie polskiej miasta Chyrów z wielkim węzłem kolejowym, który z punktu gospodarki i obronności bardziej „odpowiadał” Polsce (połączenie kolejowe Ustrzyk Dolnych z Przemyślem) niż ZSRR, bo żadna linia kolejowa tego kraju z niego nie korzystała. Ta sytuacja spowodowała jednak istnienie jednej z „atrakcji” turystycznych Bieszczad i podobnie jak wycieczki do grobu hrabiny w Siankach, stała się swoistą legendą. Emocje towarzyszące przejeździe z Ustrzyk do Chyrowa, zamykanie okien, drzwi do toalety, uzbrojeni strażnicy, zakaz fotografowania tego co za oknem – dreszczyk emocji. Pamiętam, jak z końcem lat 70. XX wieku przejechaliśmy z kolegami specjalnie całą trasę dwa razy – tam i z powrotem, żeby zobaczyć widoki zza okna z jednej i z drugiej strony.

I chociaż wydawało się, że sprawa została już przesądzona obie strony nie zamykały tematu, bo wciąż pojawiały się nowe okoliczności, powody i argumenty. Strony rządowe (szczególnie

poliska) wciąż coś proponowały, również mieszkańcy mieli swoje uwagi z przyczyn narodowościowych, religijnych, gospodarczych (położenie gruntów), komunikacyjnych (stara sieć dróg nie rozwiązywała problemów, a nowej nie budowano) czy infrastrukturalnych (zasilanie w energię elektryczną, dostęp do wody).

Pojawiające się często przekonanie, że zmiana granicy nastąpiła zaraz po odkryciu złóż węgla kamiennego w zakolu Bugu, nie jest do końca

prawdziwa. Nadbużańskie zagłębienie węglowe zostało odkryte jeszcze w latach 30. przez polskiego geologa Jana Samsonowicza, który w okresie od 1935 roku do 1938 roku prowadził badania na Wołyniu, finansowane przez Uniwersytet Lwowski, na którym pracował. To dzięki jego pracom było wiadomo, że w tym rejonie znajdowały się pokłady węgla nadające się do wydobycia - przy czym nie znane były dokładne liczby dotyczące występujących tam surowców. Ocena złóż została dokonana zaraz po wojnie, pod koniec lat 40., a towarzysze zza Bugu mieli wiedzę na ich temat.

Tymczasem po dramatycznej powodzi z 1934 roku zwanego „rokiem Noego”, wylewie Sanu i ogromnych stratach jakie on spowodował, odżył pomysł proponowany przez innego profesora Uniwersytetu Lwowskiego, Karola Pomianowskiego. Naukowiec w swoich pracach proponował uregulowanie Sanu, budowę na rzece zapór i elektrowni wodnych w Myczkowcach i w Solinie. Ponieważ pomysł zbiegł się z potrzebą dostarczenia energii dla powstającego Centralnego Okręgu Przemysłowego prace budowlane rozpoczęto przed wojną, lecz trudności budżetowe Państwa (w tym zwiększenie wydatków na obronność) oraz wybuch II wojny światowej wstrzymały te inwestycje.

Po jej zakończeniu powrócono do tego pomysłu – energii elektrycznej brakowało, jej produkcja, w jednym z najbardziej zacofanych gospodarczo regionów kraju, pozwoliły na jego ożywienie – uruchamiano przemysł w Zagórzcu i w Sanoku,



Pomnik Józefa Stalina w Ustrzykach Dolnych (fot. archiwum)

a zabezpieczenie przeciw powodziowe południowo – wschodniej Polski też miało swoje znaczenie. Do tego dochodziło zabezpieczenie w wodę pitną i „przemysłową” dla powracających do życia miast i wsi wzdłuż Sanu. Problemem stojącym na drodze realizacji tych planów był jednak fakt, że większość terenów, które załaby nowy zbiornik, znajdowały się po stronie ukraińskiej SRR (w tym zwłaszcza wschodni brzeg Sanu w miejscu, gdzie w Solinie planowano ją przegrodzić).

Zauważono również inny problem, podobny do tego, który dotyczył Chyrowa. Otóż przez tak zwane „kolano Bugu” przebiegała linia kolejowa Rawa Ruska – Włodzimierz Wołyński.

Przechodziła przez obszar Polski, a towarzysze z Moskwy obawiali się trudności. Za korzystanie z tego fragmentu trzeba było płacić, a na dodatek co „Polaczki” mają wiedzieć co się tędy przewozi. A jak chcieliby coś popsuć? Na dodatek „polski” fragment linii kolejowej miałby inny rozstaw torów.

Myślę, że przeważał jednak „argument węgla”. Polska w granicach po 1945 roku miała sporo węgla na Górnym i Dolnym Śląsku, a Rosjanom zawsze było mało. Zagłębie węglowe w okolicach Krystynopola należało budować od zera, a tak nadarzyła się okazja na interes – w zamian za skryty pod ziemią węgiel mogliśmy odzyskać (w założeniach!) bogate złoża ropy naftowej w okolicach Czarnej czy Wańkowej. Nowe granice Polski pozbawiły nas dostępu do Zagłębia Borysławskiego, więc była okazja na korzyści. Okazało się wkrótce, że ropy w Bieszczadach zostało niewiele a opuszczenie terenu przez administrację radziecką pociągnęło zniszczenia i dewastację infrastruktury.

Jesienią 1951 roku (październik – listopad) dokonano przesiedlenia ludności. Akcja nazwana H-T (od pierwszych liter miejscowości Hrubieszów – Tomaszów) polegała na wysiedleniu ludności polskiej z przekazywanych stronie radzieckiej terenów w okolicę Ustrzyk Dolnych, Czarnej czy Lutowisk. Z kolei ludność rusińska – ukraińska opuszczała swoje miejsca zamieszkania i jechała w różne strony. Np. mieszkańcy Smolnika trafili

na Krym zabierając ze sobą część wyposażenia cerkwi.

To jeszcze nie koniec tej historii, bo w listopadzie 1952 roku ZSRR przedłożył przed Prezesem Rady Ministrów i pierwszym sekretarzem KC PZPR Bolesławem Bierutem propozycję dokonania kolejnej wymiany granic. Polska stracić miała 1300 km² powierzchni wydzielonej z powiatów hrubieszowski i tomaszowski, w tym też samo miasto Hrubieszów. W zamian za to Polska miała otrzymać miejscowość Niżankowice, Dobromil, Chyrów, Smolnica oraz wspomnianą już wcześniej linię kolejową Przemyśl Zagórz. I znowu powód był prosty – okazało się, że złoża węgla są większe niż wcześniej szacowano – potrzebny był do nich dostęp. Mamiono nas z kolei dostępem do części złóż naftowych w Zagłębiu Drochobyckim, które podobnie jak okolice Czarnej, były już mocno wyeksploatowane i zdewastowane.

Ostatecznie do tej wymiany nie doszło. Zmarł Józef Stalin, nasza wiara w dobroć Wielkiego Brata zmieniła się w utratę zaufania, zmieniły się opcje i kierunki w polityce.

Co nam z tego przyszło? Nie jestem uprawniony do oceny aspektów ekonomicznych. Jest jednak trochę radości z tego, że jadąc dzisiaj przez mosty na Sanie w Prociąsnem czy Rajskim nie przekraczamy granic państwowych. Została nam cerkiew w Smolniku – jedna z ostatnich takich w polskich Bieszczadach, została również ciekawa cerkiew w Czarnej, trochę terenu o którym mówię, że jest bardziej wschodniokarpaccy, jak okolice Komańczy czy Cisnej. Plenery filmowe z „Pana Wołodyjowskiego”,

zapory wodne w Solinie i w Myczkowcach napędzające turystykę, trochę przydrożnych krzyży i kapliczek...

Pamiętką po przesiedlonych są resztki starej zabudowy i tablice pamiątkowe w Lutowiskach (przed szkołą) czy w Czarnej (obok cerkwi).

Historia płata figle i jest trudna do przewidzenia przez co nigdy nic nie wiadomo do końca.



Tablica poświęcona deportacji mieszkańców Sokola do Lutowisk przy szkole w Lutowiskach (fot. Józef Haduch – PTT O/Chrzanów)



Tablica pamiątkowa przy cerkwi w Czarnej (fot. Józef Haduch – PTT O/Chrzanów)

Artykuł pochodzi z Pisma ratowników Grupy Bieszczadzkiej GOPR pt. ECHO POŁONIN. Sanok, marzec 2021 Nr 85 – kwartalnik. Jest to kolejne opracowanie w tym samym numerze Echa Połonin. Odnosi się do wydarzeń sprzed 70 lat w Bieszczadach przytaczające nieznane społeczeństwu fakty z działalności władz PRL w ramach dwuznaczonej i często niezrozumianej współpracy „z zaprzyjaźnionym Wielkim Bratem” wpływające bezpośrednio na życie gospodarcze regionu. Artykuł przedrukowano za zgodą autora i redakcji.

J. Haduch

ZBIGNIEW JASKIERNIA (O/Sosnowiec)

Lionel Terray – 100. rocznica urodzin

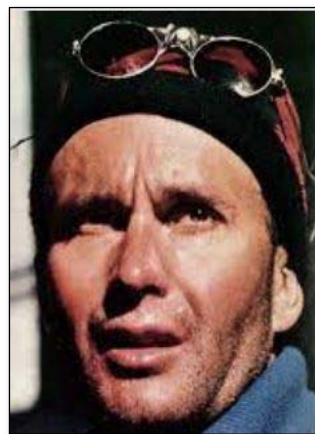
Urodził się w dniu 25 lipca 1921 r. w Grenoble. Od młodości zajmował się wspinaczką górską. Z czasem został przewodnikiem górskim i instruktorem narciarstwa. W czasie II wojny światowej służył we francuskich oddziałach dywersyjnych tzw. „Kompanii Stefana”. Po zakończeniu wojny był instruktorem w Wysokogórskiej Szkole Wojskowej.

W 1945 r. poznał Louisa Lachenala, z którym stworzył wspaniały duet wspinaczkowy. Dokonał z nim wielu wspaniałych wejść, w tym na północną ścianę Eigeru. W 1950 r. doszło do I wyprawy francuskiej na ośmiotysięcznik. Tym szczytem była Annapurna. W składzie wyprawy znalazł się



Terray. W dniu 5 czerwca 1950 r. na szczycie stanęli: Maurice Herzog i Louis Lachenal. Sprowadzał odmrożonych zdobywców i stracił szansę wejścia na szczyt. W 1952 r. brał udział w wyprawie do Ameryki Południowej. Wraz z Guido Magnone dokonał I wejścia na Fritz Roy w Patagonii oraz wszedł na Aconcaguę. W tym samym roku dokonał pierwszych wejść w Andach Peruwiańskich na Nevado Pongos i Nevado Huantsan. W 1954 r. wziął udział w rekonesansowej wyprawie na Makalu, gdzie wszedł na towarzyszące szczyty: Kangchungtse (7678 m n.p.m.), Chomo Lonzo (7804 m n.p.m.). Po roku powrócił pod Makalu i wraz z Jeanem Couzy w dniu 15 maja 1955 r. dokonali I wejścia. W 1956 r. powrócił w Andy i dokonał szeregu wejść. W 1957 r. zasłynął udziałem w akcji ratunkowej na Eigerze, gdzie uratowano Claudio Cortiego. W 1958 r. zagrał główną rolę w filmie Marcela Ichaca „Gwiazdy w południe”. W 1962 r. był kierownikiem zwycięskiej wyprawy na Jannu. Po dwóch latach uczestniczył w wyprawie na Alaskę.

Zginął w dniu 19 września 1965 r. wspinając się z M. Martinettim na wapienną ścianę Gerbier w masywie Vercors. Masyw znajduje się blisko rodzinnego Grenoble. Pochowany został na cmentarzu w Chamonix. ■



ZBIGNIEW JASKIERNIA (O/Sosnowiec)

Michał Jagiełło – 80. rocznica urodzin

Urodził się w dniu 23 sierpnia 1941 r. w podkrakowskich Janikowicach. Studiował polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. W trakcie studiów zainteresował się tematyką górską. Zrobił uprawnienia przewodnickie i związany był ze Studenckim Kołem Przewodników Górskich.

Od młodości był wielkim miłośnikiem książki. Bardzo dużo czytał. Efektem tego zainteresowania górami i książką była praca magisterska pt. „Tatrzańska literatura turystyczna”.

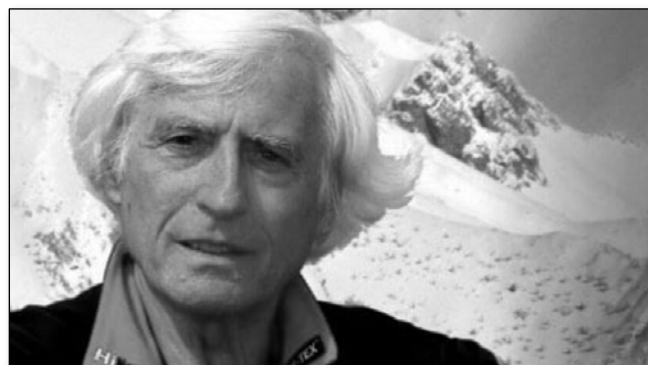
W latach 1964-1974 mieszkał w Zakopanem. Zdobyl uprawnienia ratownika TOPR i przewodnika tatrzańskiego. Uczestniczył w 250 wyprawach ratunkowych.

W latach 1972-1974 był Naczelnikiem Grupy Tatrzańskiej GOPR. W tym okresie czynnie współpracował z Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem. Był uczestnikiem wypraw w Alpy, Kaukaz i Pamiar.

Autor wielu trudnych wejść tatrzańskich. Do większych osiągnięć należy nowa droga na północnej ścianie Dent d' Herens w Alpach.

W 1974 r. przeniósł się do Warszawy. Ten okres zaowocował wieloma osiągnięciami jako: poeta, eseista i publicysta. W latach 1989-1997 pełnił funkcję Podsekretarza Stanu w Ministerstwie Kultury i Sztuki. W latach 1998-2007 pełnił funkcję Dyrektora Biblioteki Narodowej.

Za zasługi w rozwoju ratownictwa górskiego oraz za działalność w TOPR został w 2009 r. udekorowany Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Plon jego dorobku publicystycznego jest bardzo bogaty. Był autorem m. in.: „Hotel klasy lux”, „Wołanie w górach”, „Obsesje i inne góry, opowiadania”, „Trójkątna turnia, opowiadania”, „Za granicą grań – opowiadania”, „Gałązka kosodrzewiny. Najdawniejsze wypadki tatrzańskie



w piśmiennictwie polskim”, „Zbójnicka sonata. Zbójnictwo tatrzańskie w piśmiennictwie polskim XIX i XX w.”, „Tatry. Koncert na dwóch”, „Piarzysko. Tatry i Zakopane w reportażach prasowych przełomu XIX i XX w.”, „Listy o stylu zakopiańskim 1892-1912”, „Tatry i poeci. Antologia wierszy”, „Wojciech Brzega. Żywoć górala poczciwego (wspomnienia i gawędy)”, „Tatry w poezji i sztuce polskiej”. To tylko wybrane tytuły, szczególnie związane z Tatrami.

Na bazie jego twórczości powstały dwa filmy: „Hotel klasy lux” w reżyserii Ryszarda Bera oraz „O każdej porze” w reżyserii Andrzeja Kostenki.

Zmarł w dniu 1 lutego 2016 r. Został pochowany na Nowym Cmentarzu w Zakopanem przy ul. Nowotarskiej.

Dla mnie osobiście Michał Jagiełło był niezrównanym kronikarzem wypadków tatrzańskich. Chłonałem te książki nie z zamiłowaniem do tragedii. Książki były dla mnie podręcznikiem topografii tatrzańskiej, a z licznych wypadków starałem się, jako przewodnik, wyciągać jak najwięcej praktycznych wniosków. ■

WYDAWCA: ZARZĄD GŁÓWNY POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

REDAKCJA: SZYMON BARON, KINGA BURAS, BARBARA MORAWSKA-NOWAK, AGATA PODGÓRSKA

SKŁAD: SZYMON BARON

ADRES REDAKCJI: UL. ZAWILCÓW 1, 43-374 BUCZKOWICE ■ E-MAIL: PRACOWNIA@PTT.ORG.PL ■ TEL.: +48 661-536-667

WERSJA ELEKTRONICZNA „CO SŁYCHAĆ?” JEST DOSTĘPNA NA STRONIE: [HTTP://WWW.PTT.ORG.PL](http://www.ptt.org.pl)